



— Silniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję! —

PROMIEŃ

Miesięcznik Młodzieży Gimnazjalnej w Ostrowie Wlkp.

nakładem T. T. Z-u.

Kierow. wydawnictwa — Redaktor odpowiedzialny — Redaktor naczelny
Edward Grzęda Prof. dr. J. Jachimek Edmund Kołodziej



Dnia 21 czerwca 1935 roku zmarł po krótkich lecz ciężkich cierpieniach, opatrzony Sakramentami św., przeżywszy niepełna lat 36, profesor naszego gimnazjum

ś. p.

Nikodem Malak

Swą nieustanną pracą i gorącym ukochaniem nas młodzieży, zyskał sobie taką cześć, miłość i przywiązanie, że obraz jego świetlanej postaci pozostanie w nas na całe życie.

Niechaj kamień grobowy na polskiej ziemi, którą tak ukochał i za którą walczył, lekki Mu będzie.

Uczniowie gimnazjum ostrowskiego.

Płyną lata...

Płyną lata szkolne za latami... Naogół podobne do siebie, a jednak różniące się między sobą. Koledzy! Rozpoczął się nowy rok szkolny, który we wielu wypadkach będzie podobnym do poprzedniego. Dlatego na pierwszej stronie naszego „Promienia” chciałbym tu wypowiedzieć kilka słów na ten temat.

Proszę Kolegów, nie chcę czynić tego pierwszego artykułu banalnym, podobnym do tych innych, wstępnych, nie chcę wypowiadać mych zdań tonem wioskowego kaznodziei. Wiem, że toby się na nic nie zdało, najwyżej ten i ów z kolegów powiedziałby: „Jakie nudne,” „Jakie to oklepane!” „Jakie to głupie!”

Słusznie! My uczniowie sami wiemy bez żadnych moralizatorskich nauk, bez wzniosłych sentencji na temat „Bez pracy niema kołaczy” „Módl się i pracuj,” co nas czeka za praca, co mamy robić!

Wiemy, że czeka nas praca stosunkowo ciężka, jak na nasze siły. Nieraz staczając ciężkie walki duchowe będziemy musieli przewyciężyć swoją naturę, swoje nawyki w rodzaju lenistwa, zarozumiałości i. t. p. Trudną jest rzeczą zwalczanie samego siebie, swego złego jakbym się wyraził, jestestwa. Człowiek — słyszymy — woli iść z prądem, po najmniejszej linii oporu. Lecz taki osobnik prędzej czy później załamie się i ginie.

Nie to jest naszym celem. My zbierzemy wszelkie dobre chęci i będziemy pracowali skutecznie. Pracy tej nie będziemy uważali za heroizm, lecz za zwykłe spełnianie swych obowiązków tak szkolnych jak i obywatelskich.

Na tem kończę. My nie przestaniemy na głośnym gadaniu, lecz od początku zabierzemy się radośnie do oczekującej nas uczniów — pracy.

Cześć!

Redaktor Naczelny

„...Pełno nas — a jakoby nikogo nie było...”

Odszedł od nas na zawsze...

Jeszcze dziś wydaje mi się, że słyszę Jego głos równy, poważny, jeszcze widzę Jego postać rysującą się mglisto na tle katedry profesorskiej, jak pisze, czyta, uczy i wychowuje nas...

Niemasz Go tu na tem podwórzu obłąconego przez wychowanków. Na każdym kroku pustka przeraźliwa... Kiedy ostatni raz widzieliśmy Go i rozmawialiśmy z Nim, nikt z nas nie myślał, że za dni kilka człowiek ten odejdzie w zaświaty...

W białym wnętrzu kościoła, na katafalku czarna trumna. Otaczają ją kwiaty białe i purpurowe, ogrodowe i polne. Na nich spoczywa cichy, spokojny. Wnętrze kościoła zajęte przez miejscową ludność. I my łączymy się z nią i składamy w imieniu wszystkich wychowanków wieńce, symbole naszego żalu i boleści z powodu tak okropnego ciosu, jaki nas dotknął. Ciszę grobową przerywa jęklivy dzwonek przy wyjściu z zakrystji. Rozpoczyna się żałobna Msza Święta za spokój Jego duszy. Każdy szepce cichym, może niejednokrotnie załamany z bólu głosem „...a światłość wiekuista niechaj Mu świeci”... Rozegrały się organy gamą żałobnych akordów i nagle ze stropu świątyni wzbija się potężna pieśń. To koledzy i przyjaciele żegnają po raz ostatni swego prezesa i druha. Mimowoli zdaje się, że zbudzi się i wstanie z mar. W białym wnętrzu kościoła Jego czarna trumna wydaje się upiornym zjawiskiem. Kończą się smutne obrzędy przy trumnie i za chwilę żałobny kondukt ruszy na miejsce wiecznego spoczynku. Mimo pięknej, słonecznej pogody jakiś cień pada na uczestników. Powoli, w milczeniu przerywanem jękami sygnaturki, ruszamy. Niedaleka to droga, a jednak jak głęboko ryjąca się w pamięć. Tą drogą odchodzi na wieczny spoczynek nasz ukochany wychowawca. I chociaż ciało Jego wraz z ojcowskimi sercem schodzi do rodzinnej ziemi, to jednak pozostaje po Nim coś świetniejszego niż życie, czy wspomnienie. Jego czyny mówią same za Niego...

„...non omnis moriar...” Żałobny orszak minął już bramę cmentarną i skierował się do grobu. Żałobne pieśni duchowieństwa ustają i następuje najboleśniejша chwila, gdy kapłan święci po raz ostatni trumnę i rzuca grudę ziemi. Rozlega się żałobny śpiew „Salve Regina...” Za zieloną ścianą

krzewów uderza potężna pieśń pożegnalna — ostatni raz śpiewacy żegnają Go swym śpiewem...

Chociaż ciało Jego spoczywa już trzy miesiące na rodzinnej ziemi, chociaż praca szkolna będzie znowu swym torem, to jednak pamięć o Nim nie zginie. Przy każdej sposobności na ustach wymawiających Jego nazwisko rysuje się ból i żal. Duch Jego zaklęty w wyrazach klasycznych języków żyje wśród nas zawsze wielki i zawsze tak dobrze znany. Spełniają się słowa klasycznego poety

...„Protinus ut moriar, non ero, terra, tuus...”

Owczarek Edmund.

Monografia psychologiczna ucznia.

Uczeń, o którym w powyższym artykule mowa, rzeczywiście znajduje się w naszym gimnazjum

(Dop. Redakcji).

W monografii tej przedstawię ucznia tutejszego gimnazjum z klasy niższej, którego miałem możność dobrze poznać, obserwując go przez kilka miesięcy. Najpierw opiszę jego wygląd zewnętrzny, który tak się przedstawia.

Chłopak ten, który budzi podziw u wszystkich swą inteligencją, jest szczupły, ma czternaście lat naogół słabo jednak rozwinięty. Jest średnio wysoki 1 mtr. 40 cm o chudych nogach, na których spodnie niemilosiernie latają, o chudych rękach i nieco wklęsłej piersi. Twarz ma bladą, czasem nieco zaróżowioną lub śniadą oczy niebieskie, bystre, krótki szeroki nos, gęstą ciemno-blond czuprynę z ścieżką na boku. Plecy ma dość szerokie, ale naogół jest słaby, wąły, w jedzeniu nadzwyczaj wybredny, choć z twarzy dobrze sobie wygląda. Mimo, że jest szczupły i niezbyt silny, ale zato bardzo ruchliwy, sprytny, przebiegły i biada temu, kto w jego wieku rozpocznie z nim bójkę, gdyż dostanie parę takich ciosów, że będzie miał dosyć. Miałem możność to wszystko zaobserwować, zwłaszcza wtedy, gdy brał za bary rówieśnika swego, ale chłopca silnego i grubego jak heczka, którego sam przerzucał „Diekerle, to jest „Grubas.” Jest to chłopak bardzo zwinny,

odgadujący zamiary swego przeciwnika, momentalnie zadający niespodziewane ciosy. Jeżeli chodzi o zachowanie się jego w domu i o ustosunkowanie się domowników do niego, to trzeba otwarcie przyznać, że wszyscy go nadzwyczaj lubią, z powodu jego dowcipów, żartów, wesołości, pracowitości i obowiązkowości. W domu niema ani biedy, ani rozkoszy. Wszelkie nieszczęścia domowe przyjmuje z zimną krwią i rozważą, wykrzykując często nad służącą, która źle nakryła stół, lub strzaskała coś z garnituru stołowego. Gdy w domu panuje przygnębiający nastrój, co się wszędzie zdarza, on potrafi zawsze go zmienić swemi żartami, o Gandim, jego kozie, o szkole, lub żartami z gazet wyczytanemi. Przy stole uważa, jak inni jedzą i śmieje się zwracając uwagę tym, którzy nakładli sobie za dużo, lub, którzy źle trzymają widelce i noże. Przy stole jest bardzo żywy, nieraz zanadto, tak, że nie można z powodu żartów jeść.

Rano wstaje nieco zdenerwowany i pyta się wciąż, jak późno. Gdy przyjdzie do szkoły wówczas opowiada, czy dostali poprawione zeszyty od prac szkolnych. Jeżeli dostał dobrą notę, to skoro wejdzie do pokoju - krzyczy: „Mam dwa z łaciny” — Innym razem „Z pracy polskiej dostałem dwa.” Niedawno temu wchodzi rozczarowany do pokoju i powiada „Z polskiego dostałem trzy. Będę wiedział, jak się teraz urządzić. Pójdę rychlej do szkoły i wszystkim odpiszę, tak jak inni robią, którzy mimo to mają dwa, nie trzy.”

Następnie chciałbym powiedzieć coś o jego inteligencji. Muszę odrazu zaznaczyć, że chłopiec ten jest bardzo zdolny, co miałem możność stwierdzić. Wszelkie zagadki, żarty, zadane i przerobione lekcje, słyszane audycje, plotki i inne rzeczy pojmuje nadzwyczaj szybko i długo dokładnie pamięta. Jest pożeraczem książek, gazet i różnych piśmideł, ale obok tego zadane lekcje pojmuje szybko i odrabia bardzo dokładnie. Charakter pisma ma bardzo staranny. Pamięć ma bardzo dobrą i orientuje się szybko w obcych językach. Nie wiem, jakie robi postępy w szkole, ale to co zauważyłem w domu, to nieraz mnie bardzo zdziwiło. Jeżeli chodzi o jego temperament, to trzeba zaznaczyć, że jest on właściwie cholerykiem. W pracy jest ścisły, ma dar spostrzegawczy, małpowanie, szczególnie swych kolegów i Panów Profesorów, o których wszystko wie i wszelkie ich przywyki umie szybko i świetnie przedstawić. Ze wstrętem się odnosi do języka niemieckiego, i mówi nim wtedy, gdy jest zmuszony. Jest to naogół charakter niezwykajny, nieco

odmienny od innych, już mi znanych i mam nadzieję, że chłopiec ten w życiu nie zginie, dzięki swej bystrości i silnej woli.

J. Frelkiewicz

Francois Mauriac.

Pisząc w majowym i czerwcowym numerze „Promienia o problemie pisarstwa katolickiego zaznaczyłem, że przykłady, któreby ilustrowały typ powieściopisarza katolickiego, dostarcza nam literatura rodzima i obca. Warto poświęcić na tem miejscu kilka chwil uwagi jednemu z nich, którego twórczość znana jest nietylko w kraju ojczystym, lecz również zagranicą. Mam tu na myśli współczesnego powieściopisarza francuskiego Francoisa Mauriac'a.

Pomijając ściśle dane biograficzne zwróćmy pilniejszą uwagę na stronę duchową jego życia. Chcąc bowiem zrozumieć jego skryzalizowaną, katolicką twórczość i katolicki pogląd na świat, trzeba w pierw zrozumieć, na jakim tle one wyrosły. Związane ściśle z własnym życiem wewnętrznym są one wynikiem, końcowym etapem walk duchowych, moralnych autora.

Urodzony w Bordeaux, wychowany był Mauriac w domu i w szkole dewocyjnie. Nic też dziwnego, że w pierwszym zetknięciu się ze światem zewnętrznym życie erotyczne ujmował jedynie w postaci upadku i grzechu. Mówiąc o swej własnej, wczesnej młodości Mauriac stwierdza, że w okresie wzbudzenia się w nim krwi wszystkie jego niepokoje przybierały postać skrupułu, wszystko się krystalizowało dookoła pojęć czystości, grzechu, łaski¹⁾ („Dieu et Mammon, str 91) Problematyka erotyczna, ukazująca życie w brutalnym realizmie i owa niezaspokojona chęć miłości czystej, uciszającej serce młodzieńca stwarzają w duszy każdego hominis christiani wielkie, nieraz tragiczne zderzenie wewnętrznych sprzeczności. Bo czyż możliwe jest dla człowieka, niesionego na falach rozszalałej rzeki namiętności, zaspokoić głód duszy przez oddanie się Bogu? To szamotanie się własnej duszy twórcy katolickiego, któremu Pascal unaoczniał sprzeczność, jaka zachodzi pomiędzy naturą a łaską, spowodowało instyn-

1) Konrad Górski: „Francois Mauriac” str 77.

ktowna skłonność do jansenizmu, uznającego, że wszystko jest grzechem poza łaską. Lecz niemożność pogodzenia łaski z naturą, chrześcijaństwa z kultem ciała przeradza się u Mauriac'a w otwarty bunt przeciw chrześcijaństwu w szkicu „Souffrances du chrétien” (1928). Dochodzi on do wniosku że Bóg chrześcijański nie bierze udziału w sprawach ciała. Tragiczna rozpacz, powiększona jeszcze lekturą Bossueta, staje się wreszcie punktem kulminacyjnym we wydanym w kilka tygodni po „Souffrances du chrétien” nowym szkicu „Bonheur du chrétien” znajdujemy nietylko przełamaną rozpacz, lecz afirmację nauki chrześcijańskiej o równości praw ducha i ciała. Już teraz rozumie Mauriac, że „różnica między amore sacro a amore profano polega nie na braku pierwiastków cielesnych w miłości czystej, lecz na ich uduchowieniu”²⁾. Pojmując zgodność stanowiska chrześcijańskiego co do natury wyznaje ze skruchą i ukojeniem w „Dieu et Mammon”: „Absurdem jest twierdzić, że Bóg chce być wyłącznie kochanym: On chce tylko, aby wszelka miłość była objęta miłością do Niego” (str 193-194) „Przełamanie najcięższych trudności w religijnym stosunku do świata stało się w ten sposób drogą do dojrzałej afirmacji życia”³⁾.

Oto geneza mauriac'owskiej prawdziwej twórczości katolickiej. Podkreślałam słowo „prawdziwej”, gdyż Mauriac od początku swej twórczości („L'Enfant chargé de chaînes” 1913, La Robe Pretexte”) nie przechodził nigdy obojętnie obok życia duchowego, moralnego. Toć to są naczelné źródła jego działalności powieściopisarskiej, tylko, że dopiero po długiej, lecz jakże owocnej, walce ze samym sobą dochodzi do skryzalizowanego poglądu na świat. —

Podłożem genetycznym powieści jest u poety życie wewnętrzne. Słowa Goethego: — Wszystko, cokolwiek napisałem, są to ułamki generalnej spowiedzi mojego żywota — można zastosować w zupełności do psychologii twórczości każdego powieściopisarza. „W dziełach autora katolickiego treścią tej spowiedzi jest docieranie do swego błotnistego dna, ujawnianie tych pierwiastków duszy, które tkwią w człowieku wbrew jego woli i utrudniają mu zbliżenie do Boga”⁴⁾

W taki też a nie inny sposób ujmuje Mauriac zadanie powieściopisarza katolickiego: **Wy dobywać na jaw**

2) Konrad Górski: *Francois Mauriac* str. 85.

3) Konrad Górski: *Francois Mauriac* str. 86.

4) Konrad Górski: *Francois Mauriac* str. 16

w istotach najszlachetniejszych i najwyższych to, co się w nich opiera Bogu, co się kryje złego, co się zataja i oświeślać w duszach, które nam się wydają upadłe, tajemne źródło czystości." („Dieu et Mammon")

Poznawanie zatem człowieka, jego całej, złożonej psychiki i bogactwa zjawisk duchowych może w ramach tak wytkniętego celu znaleźć pełne zastosowanie. Powieściopisarz katolicki jednak, w odróżnieniu od innych, umie uzasadnić celowość obnażania pewnych cech ludzkiej psyche. Nic też dziwnego, że konsekwentny odtąd w odniesieniu do katolicyzmu, Mauriac surowy wydaje sąd o literaturze współczesnej. Zarzuca jej brak głębszych i poważniejszych motywów w malowaniu potworności życia. Wyzuci zupełnie z poczucia odpowiedzialności moralnej wobec czytelników, przedstawiają w lwiej części współcześni literaci karykaturę tych, którzy są producentami prawdziwej sztuki.

Przejdźmy teraz okiem uważnego obserwatora na teren samej powieści Mauriac'a —

Czytelnika, któryby szukał w utworach wrażeń i emocji wywołanych żywą akcją, powieść mauriacowska nie zadowoli będzie mu się wydawała grą w obłokach, a nie żadnem odzwierciedleniem tajników duszy ludzkiej. Bo Mauriac to powieściopisarz, mający wybitne cechy artysty — psychologa. Akcja sama redukuje się u niego poczęści do kilku wydarzeń. Zato bezcenne i rewelacyjne są dociekania autora w dziedzinie złożonej, będącej na usługach wykrętnej dialektyki, psychiki ludzkiej. Przedstawiają one konsekwentną realizację celu: „wydobycia na jaw i oświeślenia w duszach zła i tajemnych źródeł czystości." Z mistrzowską wprawą ukazuje Mauriac czytelnikowi relatywizm znajomości świata wśród którego się obracamy. Niby jest nam znany, a w rzeczywistości przedstawia on dla nas zagadkę bodajże nierozwiązalną — „kłębowisko żmij" (Pod tym tytułem wydał autor powieść — „Le noeud de vipères")

Nietylko jednak, że nie rozumiemy krętych ścieżek i motywów działania otaczającego nas świata, lecz sami dla siebie stanowimy nierozzerwalną, zagadką: nie umiemy sobie wytłumaczyć podskórnej gry własnej myśli, która wbrew naszej świadomej woli posługuje się bez naszej wiedzy tajemnymi narzędziami nieokiełznanej natury ludzkiej. Tu dochodzimy do bezcennych dociekań artysty psychologa: ukazuje nam on oną tragiczną skłonność natury

ludzkiej, która dąży przy wszelkiej sposobności do dogadania naszej zawiści, antypatii. Nibyto jesteśmy gotowi odrzucić i odrzucamy przedmiot naszej nienawiści, a de facto potajemnie go pragniemy... by uczynić zadość molochowi naszych wrodzonych, złych skłonności. Do tego dochodzi jeszcze słabość naszej woli w dociekaniu życia duchowego. Ujmujemy je niekiedy powierzchownie i niedbale, zainteresowani zjawiskami życia wewnętrznego.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Geometra.

Mądre czoło kwadratowe,
 Krągła powierzchnia łysiny
 Nad obliczem mdłym, woskowem;
 Trójkąt nosa wparty klinem
 W ścianę czoła symetrycznie
 Między oczu błyski sine.
 Wszędzie zmarszczek krzywe, styczne
 dostrzegam

W niepewnym świetle izdebki.
 (Okna prostokąt pocięty
 Kradnie blask, co błądy wbiegał)
 Setki myśli w kształt zakłętych,
 Jak planety po elipsach
 Leca, płoną, gasną skryte!
 Zda się, że mu poprzez lica
 Płomienny prześwieca system...

On geometra

W trójkątach kocha się — kołach,
 Pewnikach, linii, kwadratach!
 W polu, płaszczyźnie i metrach
 Wrósł duchem. Głos ich go woła
 Potężny, ciągnie do świata,
 Gdzie i myśl ma kształt realny,
 Geometria nauk szczytem

Jest od wieków wiek pochwalnym,
Gdzie pewniki nowe ryte!

On geometra

W trójkątach kocha się — kołach,
Pewnikach, linji, kwadratach.

— — — — —
Pewna, chuda jego ręka
Kreśli po białych arkuszach
Kształty i zarysy piękna,
Którego dyktandem dusza.

— — — — —
W suchym półmroku izdebki
Okna prostokąt pocięty
Patrzy weń — i dzikie setki
Projektów poprzez szkielety
Okiennych żeber się tłoczą,
Po palcach na arkusz — papier. —
Utkwią — nie ruszą się stąd.

— — — — —
Już do izdebki mrok się wkradł,
Genjuszowi pracę przerwał,
Spowił go cieniem. Blask mu kładł
Się glorią na mądre czoło,
(Które wieńczyła Minerwa.)
Czoło kształtu... Kwadrat? Koło??
Nie! Ja nie znam tej odmiany!
W żadnej księdze ona nie tkwi!
Czoło — symbol, kształt nieznany...

— — — — —
Aaa! To z Nowej geometrii!!

J. Szczublewski

Na Bugu.

— No, więc w niedzielę w południe w Gdyni na dworcu — mówię do „Foki” przy rozstaniu się na dworcu w Gdańsku. Pociąg rusza. Kieruję jeszcze wzrok za znikającym gdzieś na horyzoncie towarzyszem. Zdaleka zarysowały się ciemne kontury morza. Lokomotywa sapie ciężko, jak gdyby się bała tego olbrzyma czy jej nie pochłonie. Po kilkudniowym pobycie nad polskim morzem, zażywając kąpieli morskiej i deszczowej i nie spotykając „Foki”, ruszam teraz już do właściwego celu naszej podróży, do Brześcia n/B.

Zmęczony drogą, no i zaniepokojony losem „Foki” — czy czasem nie aresztowali go hitlerowcy, w związku z targiem polsko - gdańskim, zasnąłem.

Budzi mnie współpasażer.

— Czy pan jedzie dalej? Już Brześć.

— Nie. Dziękuję. —

Jeszcze półśnie szukam swoich walizek i wychodzę. Na dworcu gwarno. Przeważnie słychać wrzask dzieci, które zaczęły każdego ze starszych pytaniem, czy pan jedzie do Warszawy, czy tam, czy tam.

Zaczepia mnie stary żydek.

— Czy nie potrzebuje pan noclegu? Ja mam tani nocleg za 1 zł 50.

Patrze na niego pogardliwie.

— Nie. Jadę dalej. —

Zaraz też idę do kasy bagażowej i pytam się, czy jest jeszcze nasz bagaż, w postaci kajaka, skrzyni z prowiantem i różnego rodzaju potrzeb do takiej wycieczki. Na szczęście jeszcze nikt po niego się nie zgłosił.

Nocuję w hotelu francuskim.

Na drugi dzień transportuję kajak i bagaż do przystani L. M. K. nad rzeką Muchawcem, myśląc, czy może nie trzeba będzie samemu jechać.

W południe, idąc zamyślony za młodemi pięknościami, słyszę z tyłu jakiś znajomy głos. Odwracam się i poznaję „Fokę”. No, witania, objawy radości pytania objaśnienia i t. p. Zamierzamy pozostać jeszcze jeden dzień w Brześciu, — no, ale teraz już razem. Pakujemy i czynimy ostateczne zakupy. Brześć robi na nas niezbyt miłe wrażenie. Miasto wojewódzkie, rozległe, domy niskie, przeważnie jednopiętrowe, (dwupiętrowe należą do wyjątków). Na ulicach unosi się dziwny a nawet trochę wstrętny i nieprzyjemny zaduch. W każdym przechodniu

spotyka się przeważnie żyda. Handel, rzemiosło, sklepy, nawet rzeźnickie, prowadzą żydzi. Także robotnicy, murarze w znacznej mierze to żydzi. To też z jakąś ulgą opuszczamy to miasto.

Przenosimy się do przystani harcerskiej. Tu spotykamy wędrowców z Bydgoszczy w osobach ojca i córki, która złożyła maturę trzy lata temu w Ostrowie. Podróż swą odbywają na składaku motorowym. Przy ładowaniu okazało się, że kajak nasz wszytkich rzeczy nie pomieści. Przeglądamy, co jest więcej zbędnego i odsyłamy do Ostrowa. Na przyszłość będziemy trochę już lepiej wiedzieli, co zabrać.

Kajak stał trochę dumnie, emocji dodaje maszt żaglowy. Siadamy do niego, odbijamy wiosłem o wodę, ruszamy. Żegnaj Brześciu, może na zawsze!

Przejeżdżamy obok twierdzy. W jakimś skupieniu, milczeniu i powadze mijamy ją i wjeżdżamy na Bug. Spodziewając się pomyślnego wiatru, wciągamy żagiel do góry. Wiatr nas niesie dość szybko. Mijamy most, natrafiamy na przeszkodę w postaci słuzy. Musimy kajak przenosić. Nie możemy sobie sami poradzić, musimy korzystać z pomocy. Płyniemy dalej. Leżąc spokojnie i ogrzewając się na słońcu, upajamy się jazdą. Zhudził nas krzyk wołający o pomoc. Szybko opuszczamy żagiel i wiosłujemy. Już naprzód budzi się w nas coś bohaterskiego, intuicyjnego. Chwila jest poważna. Od nas teraz zależy życie pewnej, nieznaney osoby. Na zakręcie widzimy gromadkę ludzi patrzących na zanurzającą się od czasu do czasu w nurcie głowę kobiety. Zbliżamy się i podajemy wiosło tonącej, lecz ona uczepia się steru i pruje go. Prąd tymczasem znosi nas i nie możemy się z nim uporać. Z wielkim trudem i narażeniem wywrotki dobijamy do brzegu z „ofiara”, która zwyczajem kobiecej wstydlivosti szybko znika, zaledwie zdążywszy powiedzieć: „Dziękuję!” Po puczeniu, ażeby na przyszłość była nieco ostrożniejszą, popłynęliśmy dalej.

Słońce chyliło się ku zachodowi i odbijało swe srebrne promienie o powierzchnię wody. Rozglądamy się za miejscem na nocleg: Wokoło panuje szczególna cisza, nawet woda się nie porusza, tylko gdzieś woddali słychać skrzyp źorawi, szczekanie psów. To wieś. Łądujemy, rozbijamy namiot, gotujemy kolację, która inaczej smakowała niż w domu. Pierwsza kolacja i noc poza domem, daleko, gdzieś w nadbużańskim lesie. Mimowoli dusze nasze przenoszą się do stron rodzinnych, do naszych domów. Dziwny też był nasz pierwszy pacierz, w którym, jak biedne, opuszczone, błakające się dzieci, prosiliśmy o opiekę nad nami. Nazajutrz już słońce

było wysoko na niebie, gdy wyszedłem z namiotu. Zaraz też rozpałilem ogień, ugotowałem kawę, poczem obudziłem „Fokę”. Po śniadaniu dość skromnem i załadowaniu się rozpoczynamy dalszy etap. Po drodze mijamy kilka promów i przewozów. Mijamy także plażę, na której wylegiwało się, kilka krów. Po prawej stronie rzeki mamy osiedla białoruskie, po lewej polskie. Około południa lądujemy celem zrobienia zakupów. Idę do wsi. Po drodze mijam wielki sad którego pilnowało dwóch młodych żydów, odganiając amatorów krzykiem: „Tate, tate”. We wsi pusto, wszyscy w kościele. Wracam więc z próżnem butelkami, Obiad tego dnia zjedliśmy na „sucho”.

W dalszej drodze mamy wiatr niepomyślny. Płyniemy pod fałę, która zalewa pokład a nawet dostaje się do burty. Mrok zaczynał już okrywać ziemię, my błakamy się i szukamy miejsca na nocleg. Zaczyna mżyć, fala powiększa się. Panuje ciemność głęboka. Pozglądamy się wokół, gubimy się w orientacji. Po długiem błakaniu dobijamy do niezna-nej wyspy. Wyciągamy kajak na brzeg, rozbijamy w cichości namiot, bowiem z drugiej strony rzeki mamy wieś. Dnia tego zrobiśmy najdłuższy etap. Następnego dnia rano przy-
pływamy do miasteczka Mielnika. Zatrzymujemy się w przy-
stani strzeleckiej, gdzie gotujemy obiad. Stąd wysyłamy wiadomości o sobie do rodziców, kolegów i znajomych.

Ruszamy z deszczem. Wieczorem znów błakamy się długo. Mną trzęsie febra. Budzę się w nocy. Dmie wicher. Namiot cały się trzepoce. Rano chłodno, fala duża, mijamy miasto Drohiczyn, ujście rzeki Liwca. Wieczór tego dnia był pogodny, księżyc wychylał się z za chmur, śmiejąc się do nas. Zamierzamy nocować na kajaku, na rzece. „Roman-tyczny nasz wieczór” zostaje przerywany od czasu do czasu holowaniem kajaka z mielizny. Jednak rezygnujemy z dal-
szej jazdy nocnej i o północy przy świetle księżyca rozbijamy namiot. W następnych dniach panuje piękna pogoda. Gotu-
jemy już solidniejsze obiady, niż w dniach poprzednich. Wodę na herbatę czerpiemy z Bugu, która jest trochę słod-
kawa, przez co zyskujemy na oszczędności, potrzebując mniej cukru. Podczas jednego z postojów obiadowych unosi
prad miskę z budyniem, za którą zaczynamy pogoń, a w poś-
piechu zapominamy zabrać okulary. Jesteśmy coraz bliżej celu naszej wycieczki

Ostatniego wieczora widzimy mnóstwo świateł. To Se-
rock nad Narwią. Ostatni nasz nocleg, tuż pod miastem,
w którym mamy odwiedziny w postaci psa. W ostatnim dniu
słońce dopiekało tak, że musieliśmy chronić się za żaglem.

Łączymy się z Narwią. Teraz rzeka wygląda potężnie. Płyną po niej już dosyć duże statki, a na każdym prawie kroku spotykamy sportowców i letników.

Zdaleka już na horyzoncie rysują się kominy fabryk, domów. Zbliżamy się do Nowego Dworu, następnie do Modlina. Co za radość bije w naszych sercach! Blisko po dwóch tygodniach kończymy naszą tułaczkę.

Ostatnie formalności w przystani i likwidacja. Żegnamy się na dworcu w Modlinie. „Foka” wraca do naszego miasta, ja w dalszą podróż.

Lis Franciszek.

Czekam na...

*Leżę
We wodzie nawznak,
Cały zanurzony
W świeżem
I chłodnem objęciu,
Nade mną rozpięty szlak
Niebios rozslonecznionych
W promiennem zakłęciu.
Jako beczynny — leniuch
Trwam
W zapomnieniu —
Zapomniany, sam
Pomiędzy taflą wody
Nakryty szafiru i słońca kłosem.
Miljony ognistych włosów,
Nitek, promieni swobodnych
Pełnych świetlnego patosu
Sączy się ku mnie. — A ja się unoszę
Czaru, bezwładu, ciszy głodny.
Ach!
Jak bosko
Tak trwać! Czar gra
Wszęchświatu piosnkę.
Myślę, czekam — czy stanie się cud!
Szmaragd — toń się leje z błękitem,
Nagle jednego zaczerpnie tchu,
Wszystko przepadnie lazurem spowite
Wśród wiecznych snów,*

*Ja się upoję, duchem rozplynę
I zginę!...*

Czy zbudzę się znów?!

J. Szczublewski

Orli syn.

Ciąg dalszy z numeru przedwakacyjnego.

Minęło kilkanaście lat...

Dzień był piękny, słoneczny. Lipcowe słońce wysuszało trawę, tworzącą kobierzec lotniska. Na błękitnym niebie bez chmurki uwijały się szkolne samoloty kursu pilotażu. Co chwilę startowały i lądowały aparaty z uczniami i instruktorami. W pewnej chwili z hangaru „D” wytoczył się z potężnym rykiem silnika srebrny, wysmukły samolot najnowszej konstrukcji. To mechanicy wytaczali aparat, na którym as lotnictwa i pilotażu na wielkich szybkościach, kapitan Jerzy Borowski dziś właśnie postanowił zaatakować rekord szybkości samolotów na bazie, wynoszący 605 klm. na godzinę. Postanowił on wydrzeć go Francuzowi, który ustawił ten rekord na bazie długości 3 klm. Silnik samolotu typu „Skoda o sile 900 koni jeszcze raz został zbadany dokładnie przez komisję, która po najdokładniejszym rozpatrywaniu jego wszystkich szczegółów, uznała jednogłośnie jego wielkie zalety i pozwoliła wmontować do samolotów o wielkiej szybkości...

Kapitan Jerzy Borowski wychodził właśnie z biura komendanta bazy w towarzystwie dowódcy pułku, kierownika bazy, dyrektora fabryki silników „Skoda” i dwóch telegrafistów. Podeszli do samolotu i kapitan ubrany w kombinezon lotniczy ze spadochronem zajął miejsce w kabinie. Oczekiwał sygnału startu. Jeden z panów tymczasem połączył się telefonicznie z końcowymi stanowiskami bazy i po chwili dał sygnał startu czerwoną chorągiewką. Ryk silnika wzmógł się jeszcze więcej, aparat drgnął, potoczył się szybko po trawie i uniosł się w powietrzu, wzbijając się na wysokość 100 metrów. Świadkowie z podziwem patrzyli na oddalający się aparat w kierunku końcowej wieżyczki obserwacyjnej bazy. Wszyscy podnieśli lornetki do oczu i uważnie obserwowali lecący aparat. W pewnej chwili jeden z nich krzyknął — Uwaga, rozpoczyna lot...

Rzeczywiście, samolot wyleciał za stanowisko obserwacyjne i robił wiraż w prawo kierując się widocznie do lotu rekordowego. Nagle rozległ się ogłuszający huk silnika. To pilot nacisnął rączkę gaźnika na „pełny gaz...”

Oczy zgromadzonych na lotnisku poprowadziły samolot od stanowiska do stanowiska i huk jego silnika przyspieszał tętno bicia ich serc oczekujących zwycięstwa. Pilot przeleciał już raz nad ich głowami i robił wiraż podchodząc po raz drugi zgodnie z przepisami do procy. Po krótkiej chwili znowu był nad torem i całą potęgą silnika leciał po laur zwycięski. Minał znowu stanowisko i po wirażu skierował się po raz trzeci i ostatni do lotu. Przeleciał jak pocisk nad głowami widzów i w momencie był przy końcu bazy...

Komendant ścisnął rękę dyrektorowi „Skody,” gratulując zwycięstwa jego silnikowi. Tymczasem jeden z radiotelegrafistów ze słuchawką telefoniczną przy uchu dyktował jakieś liczby drugiemu, a ten mierzył coś na suwaku i notował na papierze. Skoro skończyli liczyć i mieli oznajmić wynik próby komendantowi, nagle potężny ryk zmusił ich do zwrócenia na siebie uwagi. Pilot wylądował, zgasił silnik i powoli wyszedł z kabiny. Obecni podbiegli ku niemu i składali mu gratulacje jako zwycięzcy. Wtedy jeden z telegrafistów podszedł do nich i wzięwszy do ręki arkusz papieru rozpoczął:

— Panie kapitanie melduję posłusznie, że skończyłem obliczanie próby...

— No i jak się przedstawia szybkość na poszczególnych odległościach — zapytał Borowski w świetnym humorze.

— Według obliczeń naszych, przebył pan pierwszy etap z szybkością 620 klm. na godzinę, na drugim etapie szybkość wzrosła do 640 klm. na godzinę, a w trzecim końcowym osiągnął pan szybkość 672 klm., więc średnia szybkość wynosi okragło 645 klm. na godzinę. Rekord został pobity o 40 klm. na godzinę — składał sprawozdanie telegrafista...

— Panie kapitanie — rzekł nagle dyrektor zakładów „Skody” — gratuluję panu tak świetnego zwycięstwa w powietrzu...

— A ja, panie dyrektorze, składam życzenia firmie pańskiej jako tej, która wyprodukowała taki silnik, że moja próba się powiodła.

Nazajutrz, skoro Jerzy Borowski wszedł do jadalni i zaczął z matką spożywać śniadanie, nagle zadzwieczał ostro dzwonek u drzwi. To listonosz przyniósł gazety. Jerzy

wziął do ręki nowy egzemplarz „Lotu i Obrony Przeciwważowej Polski,” matka zaś zaczęła przeglądać dziennik. Nagle z ust jej wyrwał się okrzyk — Co to, Jerzy...

On zerwał się przestraszony.

— Mamusiu co Tobie?...

Podawała mu dziennik.

— Czytaj!...

Spojrzał. Na pierwszej stronie wielkimi literami widniał wydrukowany reportaż: „Wczoraj o godzinie 2-giej po południu Polak - pilot pobił światowy rekord szybkości samolotów wynoszących dotychczas 605 klm. na godzinę, szybkością 645 klm. Zwycięzcą jest syn tragicznie zmarłego dawniej kapitana pilota Józefa Borowskiego, Jerzy Borowski kapitan-pilot na wielkich szybkościach i. t. d.

Spojrzał na matkę. Miała łzy w oczach.

— Jerzy mój, dziecko moje, tyś godnym następcą ojca jestem dumna z Ciebie, że wstąpiłeś w ślady ojca... ale bóg się Boga, — Mamusiu — schylił się do rąk jej Jerzy-nie mogę inaczej do tego wzywa mnie zew krwi, jam przecież syn lotnika, jam orli syn...

Matka podniosła ręce nad głową Jerzego i w milczeniu ze łzami w oczach zrobiła znak krzyża nad synem...

Koniec.

Owczarek Ed.

Skok wdal.

*Już, tu!
 Oddech podniętą —
 Wydech tchu
 Lekko...
 Serce puk, puk...
 Naprężyć nóg
 Muskuły
 I oko
 Wbić w punkt
 Odskołu!
 Podbiec sreżyście,
 Nabrać rozmachu,
 Serca wstrzymać bicie
 Z tajną potęgą
 Naprężyć każde
 Stałowe ścięgno!*

*I krzykiem w nerwach
O-dbić się!!
Poderwać
Ciało na lot!
Duszę pchnąć w skok
Błyskawicę
I „nożyce,”
Rozpęd nóg,
Ciała rzut
Jeszcze wprzód!
I ciach!
Na piach —*

J. Szczublewski

Wakacje Gustawa Filipa Zaliwa Kątomierza.

Zwykle tak bywało że Gustaw Filip dwojgą imion Zaliwa Kątomierz po otrzymaniu świadectwa, brał notatki pod pachę i pędził na dworzec, oglądając się czy nie goni go pedel, by mu odebrać świadectwo. W zeszłym jednak roku było troszkę inaczej. Skoro Gustaw Filip Kątomierz dostał świadectwo, osłupiał na pół godziny. Na świadectwie napisany był wynik dostateczny. Skoro Gustaw Filip oprzytomniał, huknął się w łeb i zaczął myśleć, że przecież wszelkie znaki na ziemi i niebie i notesie profesorskim wróżyły niedostateczny wynik. Ba, tylko dlatego został prezesem K. R. T. N. (Kółko Racjonalnych Tłumaczy Nauki vulgo zwane „Kretyn”).

Jasny gwint! Co teraz będzie? Gustaw Filip uwierzył teraz w teorię względności (N. B. wiedział o niej tyle, ile wie o stuzłotówkach przeciętny obywatel R. P.)

Oslupienie to, jak się już rzekło, minęło, więc Gustaw Filip porwawszy świadectwo i brata pod pachę, kopnął się do rodzinnego Kalendarzowa.

W domu państwa Zaliwa Kątomierzów ruch. Pani domu Agata z Cipełskich Kątomierzowa przygotowuje przyjęcie z okazji tej, że córka jej córki przemówiła po raz pierwszy Plotka, która krążyła po Kalendarzowie mówiła, że to tylko pretekst, bo właściwym powodem ma być podobno przyjazd pierworodnego syna, Gustawa Filipa.

Bałagan w rodzinnym gnieździe Kątomierzów powiększył fakt, że Gustaw Filip przeszedł, a brat jego Jan Bartłomiej miał na świadectwie tylko trzy zamiast pięciu czwórek.

Wieczorek trwał w całej pełni. Uwaga gości skupiała się naturalnie na Gustawie. Szczególnie podziwiano jego męski puszek pod nosem Inna rzecz, że pasta do butów trochę gryzła Gustawa. A już oczy miały weń wlepione panny Karolcia i Agatka, piękności Kalendarzowa. Gustaw Filip nawet na ich cześć napisał taki wiersz: Ty Rozalijo, jesteś Afrodyta, a ty Agatko jesteś i. t. d.

Do Gustawa podszedł nagle jakiś jegomość i zapytał go: Panie Gustawie! Podobno u was rozdawano nagrody na zakończenie roku. O pamiętam, za rosyjskich czasów... Pamiętam, mój znajomy to co rok dostawał książki i list pochwalny.

— E, e, e, tak niby! Tak, no pewnie — stękał Gustaw, kombinując wybieg w międzyczasie — ależ na pewno dostałem. Chciałem się wymówić, bo tak publicznie rozdawali Ja jestem zaś skromny.

— No no! Czyby pan nie mógł tego pokazać.

— Ależ godzinami. Już idę.

Gustaw wrócił po chwili niosąc jakąś książkę.

Jednakże, Gustaw tak manewrował, że pytający nie mógł książki bliżej obejrzeć.

— Tytuł tej książki brzmi Anabazis. Jest to książka ilustrująca stosunki społeczne w Chinach. Autorem jej jest Ksenofont, nowy całkiem talent, inna rzecz, że bardzo dobrze się zapowiadający. Drugi Żeromski. Ba, u nas w mojem mieście, w gimnazjum żeńskiem, w którym wydają pisemko, jeżeli brak jeszcze 5 stron do 15 stron komunikatów i sprawozdań, jedna z komitetu redakcyjnego siada do pisania i w ciągu godziny pisze artykuł na temat „Anabazis“ i luka pięciostronicowa jest zapełniona.

— Możeby pan pozwolił przejrzeć tę książkę

— Z przyjemnością, lecz niestety, jest ona jeszcze nie przecięta.

— No tak a skąd pan zna treść?

— Ach! Zapomniałem panu powiedzieć, że znam się osobiście z autorem jej i czytałem to dzieło w rękopisie... No tak, tak, zresztą to nic.

— Rzeczywiście! Ciekawe pan opowiada rzeczy. Ktoby to przypuszczał.

— Lecz przepraszam pana! Z kim mam przyjemność? Bo gadam i gadam a o nazwisko nie spytałem się. Tymczasem widzę, że pan jesteś bardzo inteligentny i odcytany, jak na Kalendarzowo.

— Rzeczywiście?! Ja jestem... jestem tylko Jan Rożostalski, profesor języka greckiego...

Od dwóch dni Gustaw Filip moczy w nafcie zardzewiałą łańcuszek od zamykania drzwi. Od dwóch dni również obaj bracia siedzą po ciemku gdy zapadnie wieczór, bo w lampie nafty zabrakło.

Po upływie wspomnianych dwóch dni Gustaw Filip wlał naftę zpowrotem do lampy i zapaliwszy ją zaczął przy jej świetle oczyszczać łańcuszek od rdzy. Gdy to skończył zabrał się do toalety.

Jana Bartłomieja nie było w pokoju, ale gdy wrócił zastał brata przed lustrem robiącego po raz siódmy przedziałek a po raz czterdziesty trzeci usiłującego zawiązać motylka z materiału, który jeszcze wczoraj służył za firanek.

Wkońcu jednak Gustaw Filip zrezygnowany usiadł na krześle i powiódł samobójczym wzrokiem po pokoju a później zatrzymał oczy na bracie, który rozdziawiwszy usta, nie mógł pojąć, co się stało, że brat cesał się więcej niż raz dziennie. Żeby morze nieświadomości rozjaśnić począł się Gustaw wypytywać.

Gustaw Filip początkowo nie reagował na zapytania Jana Bartłomieja wreszcie z miną wystudjowaną w kinie rzekł.

Cóż wy, malcy! U was serce to pojęcie piernika czekoladą oblanego. Lecz my, mężczyźni z wąsami (Gustaw Filip teraz już stale, używał pasty do butów, więc go nie gryzła pod nosem jak dawniej) My „dorośli” tu podniósł głos) My... my Eh, co ci tłumaczyć! Ty i tak nie rozumiesz, co znaczy iść na „randkę”. Ale zobaczysz, gdy wrócę od „żony” z pamiątkami... Wtedy zobaczysz...

Przerwał, bo spojrzawszy na zegarek, przekonał się, że już pora wyruszyć. Przymocował więc teraz czasomierz bo łańcuszka, który to się moczył w nafcie i dumnie wypinając brzuch wyszedł, pozostawiając brata w zdumieniu.

Rano. Godzina coś około trzeciej. Dokładnie nie wiadomo, bo budzik braci Zaliwa Kątomierzów spieszył się na dzień czterdzieści minut a stawał co pięć i pół godziny.

Jan Bartłomiej obudził się. Oto Gustaw Filip powraca. Jedną ręką trzyma oddarty od marynarki rękaw, drugą rozchyła powieki napuchniętych oczu. Pozatem „stemple” niebieskie na całym ciele oraz w jednym miejscu brak zęba i kawałka ucha.

Jan Bartłomiej, zrozumiałwszy, że to powrót brata z pamiątkami, rzecze:

— No, no rzeczywiście ładne pamiątki! Gustaw Filip chciał brata huknąć ręką po głowie, lecz skoro odjął rękę od oka, powieki mu się zamknęły i ręka miast w głowę trafiła w kant łóżka.

Gdy minął okres rekonwalescencji po „pamiątkach”, do Gustawa Filipa przybyła delegacja ze stowarzyszenia „Snop” z prośbą, by wygłosił na zebraniu referat o analfabetyzmie.

Końcem pertraktacji było wywieszenie w gościńcu ogłoszenia następującej treści „Obywatele i wy ludzie!” Za dwa dni kółko „Snop” będzie miało zebranie, na którym wygłosi referat sławny uczeń wyższego gimnazjum w Bostrzszewie pan Gustaw Filip Zaliwa Kątomierz. Referent będzie mówił na temat analfabetyzmu. Początek zebrania po wieczornym udoju”.

Zebranie odbyć się miało, naturalnie, w gościńcu. Gustaw Filip stoi już na podium ze skrzyń od „Monopolówki” i zaczyna mówić:

„Obywatele i obywatelki”. Na początku objaśnię wam wyraz „analfabetyzm.” Wyraz ten pochodzący z jednego języka oznacza ludzi analfabetów. Otóż, jak z tego widać, analfabetyzm jest czemś groźnem.

Wyobraźcie sobie n. p. ucznia gimnazjalnego analfabeta. Cóżby on zrobił w razie zachorowania? Miałby godziny nieusprawiedliwione, bo nikt by mu nie mógł wypisać usprawiedliwienia. Albo coźby robił Zukerkandel, gdyby nie umiał czytać i pisać, a przedewszystkiem drukować? Musiałby zwinąć swą drukarnię, która jest krynicą znajomości języków starożytnych.

Coby robili ludzie analfabeci przy pisaniu listów? Musieliby wysyłać nieadresowane koperty a listy niezapisane.

Jednakowoż o samym analfabetyzmie wiemy mało, bo analfabeci nie chcą odpisywać na ankiety. Dam konkretny przykład. Oto znane skądinąd towarzystwo „Kretyn”

wysłało do 500 analfabetów ankietę z następującymi pytaniami: 1) Dlaczego pan jesteś analfabeta? 2) Czy pan od urodzenia nie umie pisać, czy od później? 3) Czy czytał pan broszurę pt. „Samouczek dla niepiśmiennych bez pomocy nauczyciela?”

Otóż na 500 ludzi żaden z analfabetów nie odpisał. Dlatego, że wiadomości w tej dziedzinie są szczupłe, kończę referat.

Gustawa Filipa wyniesiono na rękach z gościńca. Sam nie miał sił iść, bo ktoś uderzył go za mocno krzeselkiem w głowę.

Powrót do zdrowia postępował powoli, bo jeszcze w dwa dni po rozpoczęciu się roku szkolnego Gustawa Filipa dwojgą imion Zaliwy Kątomierza nie było w gimnazjum.

Grzela.

Matura...

UWAGA: Pieśń ta w gamai spisana na murze
Przez ucznia, który już jest po maturze.

*Przyjdą na ciebie, bracie, ciężkie chwile,
Rozpacz przyjedzie na tysej kobyle,
Targnie za serce twe, a to uderzy,
Jak dzwon pęknięty z rozwalonej wieży,
I pocić będziesz się całą twą skórą*

Żeś przed maturą.

*A potem strachu najesz się bez liku,
Bo cię posadzą przy małym stoliku,
Profesor stanie ci z każdej twojej strony
I zadrzysz, jak zwierz śmiertelnie raniony,
Choć będziesz szeptał wciąż: „Głowa do góry*

W czasie matury”.

*A gdy się wreszcie skończą twe męczarnie,
W drodze do domu uściśniesz latarnię,
Wokoło patrzeć będziesz mętnym wzrokiem,
Szerokość ulic twym przemierzysz krokiem,
No, boś jak zwykle, gdzieś w małej dziurze*

Pił po maturze.

X.

Z cyklu: **Echa wakacyjne.**

W lipcową noc...

Posnęły chaty. Hen, z pod boru
Wyptywa cudna Tajemnica..
Srebrnym gościńcem lśnień księżycy
Z brylantowego idzie dworu.

— Cisza... Z pól płyną kwietne wonie
I w krzewach dźwięczy trel słowika —
A Ona w ludzkie serca wnika,
Dłoń swą na ludzkie kładzie skronie.

Idzie z nią orszak kolorowy:
Elfy przesłiczne, jak marzenie...
— Sarny ciekawie wznoszą głowy....

Kwiaty wstrzymują wonne tchnienie —
A Ona przecudnemi słowy
Prawi baśń złudną: Zapomnienie.

X.

Morze.

Z pod horyzontu fal długie szeregi
Pędzą, jak tabun rozbukanych koni.
I lśnić szmaragdem niezgłębionej toni
Wzburzoną piersią swą wałą o brzegi.

Srebrzysta mewa nurza się w błękicie
I ginie z krzykiem w siniejącej dali
A morze z szumem wciąż o brzegi wali,
Tak monotonne i straszne, jak życie.

I chciałby człowiek w takiej dziwnej chwili
Popłynąć łodzią aż na krańce świata
W zawody z wiatrem, co wśród żagli kwili.

By nie zmarnować życia, co ulata,
Życia kruche go, jak skrzydła motyli,
Co się trwożliwie mu w piersi kołata.

X.

Wyzwolenie Swarożycy.

W 3 (obrazach).

O S O B Y:

Swarożyc
Wojtek
Kasia
Gospodyni
Gospodarz
Kapłan I.
Kaplani
Lud wieśniaczy

Obraz I.

(Scena przedstawia izbę starożytną, wiejską. Gospodyni krząta się. Do izby wchodzi niespostrzeżona Kasia, wylękła i podchodzi do gospodyni.)

Kasia

Matka, żebyśta wiedzieli, co ja nojdłam, jak szłam po jeżyny!!

Gospodyni (odwraca się)

A, co, moja córuchno, co? Coś tam nojdła w tym boru?

Kasia

Ano taki słup rzeźbiony, który ma takie rzeźbione obrazki na sobie. Napewno to będzie opuszczony wizerunek Boga

Gospodyni (z niedowierzaniem)

Tak Bóg, a może to słup?

Kasia

Nie słup, ale może Bóg!!

Gospodyni

To jak mówisz Bóg, to prowadź mię tam do niego, niech go obejrzę

Kasia

A kto zostanie w doma?

Gospodyni

Wojtek!! (woła go) Wojtek

Wojtek

Co matka, co?

Gospodyni

Pójdź ino Wojtek do mnie, coś ci powiem. (do izby wlatuje Wojtek) Wojtek, zostaniesz w izbie, a my z Kasią pójdziemy do puszczy. (wychodzą)

Wojtek (za nimi)

A poco idieta matka?

SCENA 2.

(Przedstawia Wojtka samego w izbie)

Wojtek (siedzi na stołku)

Poco tyż tam leżli matka i Kacha? Może?... (Słychać tupot nóg w sieni) Już idą... (otwierają się drzwi i wchodzi gospodyni i Kasia)

Gospodyni

Na co ci wiedzieć. Ale już i obiad. Zaro ojciec przyjdą (wchodzi gospodarz)

Gospodarz (siadając)

Dawaj jeść staro, bo mi kiszki kręcą się po brzuchu, jak Marek po piekle (Gospodyni daje obiad na stół i sama zasiada przy stole)

Gospodyni

Wiesz stary, co Kacha znalazła istnego Boga, a ja bylam go obejrzyć.

Gospodarz

To trzeba dać znać kapłanowi.

Gospodyni

To po obiedzie pójdę i razem z kapłanami udam się na to miejsce.

SCENA 3.

(U kapłana)

Gospodyni

Przewielebny ojcze, ja i moja córka odkryliśmy w puszczy słup, a ten słup wygląda jak Bóg.

Kapłan

Dobrze, ale pamiętaj, jeśli kłamiesz to śmierć cię nie minie!!

Koniec obrazu I

Obraz II.

(Scena przedstawia puszcę. Wśród krzaków stoi słup rzeźbiony — Swarożyc. Naokoło niego kapłani i lud.

Kapłan I. (ogląda słup)

Dobrze mówiła Magda Zydłowa, to jest uznany na Boga-bóg, bóg o którym zapomnieliśmy, bóg gromu, żywiołu.

Kapłani

O, Boże, władko gromu, przebacz nam (obchodzą i dotykają go) kapłanowi i ludowi tobie wiernemu przebacz!!

Kapłan I.

Władko w postaci niedźwiedza, który ludzi za nieposłuszeństwo rozrywał!

Kapłani

Przebacz nam i ludowi!

Kapłan I.

Władcyko w postaci witezia rannego leżącego w puszczy!

Kapłani i lud

Przebacz nam nasz dobroczyńco (nagle gdy to mówią, wylatuje Kasia z ludu i rzuca się bogu na szyję. Przez nieostrożność zrywa korale)

Kasia

Mój ci jest ten bóg... (huk gromu, lud i kapłani padają na kolana wśród huku słyhać głos Swarożycy)

Swarożyc

Ludu mój Ja Swarożyc jestem wdzięczny Kasi Zydlównie za wyratowanie mnie z czarów i biorę ją za żonę. (znika lud i kapłani powstają)

Kapłan I.

Swarożycy Kasia wybawiła, Swarożycu bądź łaskaw ludowi, a przyszła żona twa niech będzie pośredniczką między tobą a nami.

Kapłani i lud

O, tak, Swarożycu miły, o tak. (klękają i modlą się)

Koniec obrazu II.

Obraz III.

(Scena jak w obrazie I. Co chwila słyhać grom. W izbie siedzą wszyscy razem)

Gospodarz (widząc błyskawicę)

Co to, czyżby ten bóg wyzwolony? To niemożliwe, czyżby on tem gniew objawiał albo radość? Lepiej módlmy się (modlą się)

Wszyscy razem

Swarożycu, boże, władcyko gromu bądź nam dobry (co-raz donośniejszy huk)

Kasia

Ojciec patrzyta, kogo widzita na niebie?

Gospodarz

Tego boga kochanego (wszystko się ucisza)

Kasia

Męża mego (stukanie do drzwi)

Gospodyni

Kto tam?

Swarożyc

Ja, który przychodzę po córkę twą! Otwierajcie!! (Gospodyni otwiera drzwi i wchodzi Swarożyc)

Gospodarz

Witajcie władcyko w naszych progach.

Swarożyc

Dziękuję wam moi mili. A gdzież ma żonka, gdzie się schowała (wychodzi z ukrycia Kasia)

Kasia

Witaj mój mężu, czy już czas abym się żegnała z nimi?

Swarożyc

A tak już wielki czas. (biorą się za ręce) Błogosławcie nam ojczy i ty matko bogini! (podchodzą do nich, a ci im błogosławia)

KONIEC

Su-Włó.

KĄCIK HARCERSKI

Było to w lipcu 1935 r.

Z okazji 25-lecia Harcerstwa odbył się Jubileuszowy Zlot Harcerstwa Polskiego w Spale.

Przybyli na Zlot harcerze polscy z zagranicy, by oglądać Polskę, za którą tęsknią na obczyźnie, by choć krótki czas z nami zamieszkać pod wspólnymi namiotami.

Witaliśmy na zlocie skautów z zagranicy jako miłych gości i współpracowników ogólnej idei skautowej. Spędziliśmy z nimi chwile radośnie i ochoczo z przyjacielską radą i pomocą przeszliśmy przez Zlot, zadowoleni, lepiej przygotowani do pracy na niwie harcerskiej.

Nadszedł wreszcie z upragnieniem i niecierpliwością oczekiwany Zlot. W lasach spalskich, dotąd cichych i spokojnych, w których jedynie wrzało życie zwierzęce, stanęło wielkie obozowisko-miasto

Ziechaliśmy się z całej Polski, ba, nietylko z Polski, lecz także przybyli polscy harcerze z zagranicy i obcy skauci.

W pierwszych dniach zlotu drogą terenu zlotowego sunęły się tysiącami szeregi harcerek i harcerzy, maszerujących dziarskim krokiem do swych podobozów. Wślad za nimi podążały samochody ciężarowe, wiozące bagaże.

Drogi zrobione przez harcerzy z Harcerskiego Ośrodka Pracy w Spale dobrze ułatwiały dojazd samochodów do wszystkich miejsc.

Ciężka była praca harcerskiej policji na zlocie. Nie-

skończone szeregi harcerzy, samochody, rowery i t. p. to wszystko wypełniało drogi zlotowe a porządek musiał być.

Stróż bezpieczeństwa z pomarańczową opaską na rękawie sprawnie regulował ruch, patrolował, udzielał informacji.

Trzeba zaznaczyć, że policja harcerska ważne spełniała zadanie, bo obszar Zlotu męskiego był eksterytorjalny, więc policja państwowa nie miała nań wstępu.

Każdego więc uczestnika zlotu obowiązywały pewne przepisy. W wypadku niestosowania się do nich policjant nakładał mandat karny w ten sposób, że przyklepał winnemu na plecach znaczek na budowę Domu Harcerskiego w Warszawie i egzekwował 5 lub 10 groszy. Jakie przepisy obowiązywały każdego, można się było dowiedzieć z gazetki „Wieści zlotowe”, która docierała do każdego harcerza.

Nie mniej ważne zadanie spełniała służba sanitarna. W każdym Podoboziu, względnie Chorągwi znajdował się punkt opatrunkowy, gdzie zwykle załatwiano małe uszkodzenia chirurgiczne. W większych uszkodzeniach, wzgl. chorobach karetki pogotowia P. C. K. odwoziły chorych do szpitala głównego.

Wszyscy uczestnicy zlotu byli ubezpieczeni od choroby i nieszczęśliwych wypadków w Towarzystwie „Para”, tak, że w razie nieszczęśliwych wypadków lub choroby koszty pokrywała ubezpieczalnia.

Służba zdrowia w zakresie higieny dbała o wodę. Co parę dni brano próbki wody z każdego kranu do badania. Na stacji w Spale stał specjalny wagon bakteriologiczny Ministerstwa Opieki, w którym dokonywano badania tak wody jak i innych środków żywnościowych.

Godne wspomnienia są urządzenia, z którymi spotkałiśmy się na zlocie.

Na terenie zlotu były przeprowadzone rury wodociągowe, tak że każdy hufiec wzgl. drużyna miała w pobliżu wodę.

Pomysłowo były urządzone zabudowania w dzielnicy handlowej.

Tu skupiał się całkowity handel, a więc były warsztaty, restauracje i miejsca rozrywkowe, cukiernie, kioski, K. D. H. i C. K. D., kiosk „Ruchu”, poczta, bank, gdzie załatwiano wszelkie manipulacje pieniężne.

Ohok dzielnicy handlowej znajdowały się namioty - hotele, gdzie zamieszkiwali goście przyjeżdżający na zlot.

Nie brakło na zlocie kina zlotowego, mieszczącego się

w hali, gdzie wyświetlano obrazy krajowej i zagranicznej produkcji aktualności i dodatki, filmy harcerskie.

Wielki obszar, jaki obejmował zlot, pokryty był siecią telefoniczną, megafonową i radjo-telegraficzną.

Codziennie w godzinach ustalonych podawano przez megafony wiadomości złotowe, rozkazy, instrukcje i t. d. Poza tem nadawano muzykę z płyt.

Ohok dzielnicy handlowej w Hali zorganizowano wystawę pod nazwą „Harcerstwo w ciągu ćwierćwiecza i dziś”.

Wystawa ta składała się z dwóch działów i to: „Harcerki i harcerze w służbie”, oraz „Harcerstwo (zisiejsze)”. W pierwszym dziale była przedstawiona sylwetka ideowa harcerza, wynikająca ze stosowania różnych metod harcerskich oraz służb społecznych w postaci jakichkolwiek prac podejmowanych dla innych.

W drugim dziale były przedstawione cztery okresy rozwoju harcerstwa: konspiracyjny, wojenny, powojenny i okres ostatni.

W dziale tym przedstawiony był rozrost i dorobek harcerstwa.

Ośrodkiem całego życia harcerskiego na zlocie był Majdan, otoczony zewsząd lasem, z areną z drzewa, mogącą pomieścić kilka tysięcy harcerzy. Tu codziennie odbywały się harce i pokazy, tu gromadziliśmy się wieczorami na wspólne ognisko, tu wypływały wzniosłe słowa naszych przełożonych.

M. W. (II H. D.)

Ćwierć wieku!

Na stadjonie spalskim płonie ognisko, wokół szumią knieje. Siedzi ich blisko 30 tysięcy. W płóciennem mieście zostały tylko warty. Jak tu miło i błogo, jaki serdeczny nastrój panuje - zda się, że człowiek mógłby w tej chwili umrzeć, i nie czułby nawet, że duch z niego uchodzi. Jego całe jestestwo znajduje się „w kręgu rady, na Jamborcie dusz skautowych.” Równocześnie jednak odczuwa, że bez takich momentów nie mógłby już żyć; pragnie, aby ta chwila w nieskończoność się przewlekła w nieskończoność i marzy... A to marzenie jest tak głębokie, że jest zdolne wiele dokonać. Wiedzą o tem przewodnicy ruchu i tu w „Kręgu Ognia” rzucają hasła przyszłej pracy, kuja żelazo na gorąco”. Wnet myśli i uczucia wszystkich ogniskują się około dewizy przez nich postawionej a echo leśne niesie akord tysięcy serc harcerskiej braci. Dobrze mówili: „Zrobimy”! Kto? My!

Kto? My! Kto? My, my, my! Ależ, wspaniale wyglądają ci bojownicy „Złotego Jutra”. Nie chce się poprostu wierzyć, że w tych zielonych, codziennych postaciach, jest tyle heroizmu.

Ale co to za przedsięwzięcie, co za wyprawa egzotyczna ogarnęła ich umysły, że w obliczu odwiecznej puszczy składają na płonąca watę postanowienie czynu? Może to marzenia przeniosły ich w „Krajinę Baśni”. Nie! Nie baśń to! Oni marzą, ale o ideach, o swym Wodzu, który im wskazał drogę ku nim. Słowa jego były krótkie. Szczęście stoi otworem dla wszystkich. Jeśli oczyścicie je ze składników nieistotnych, okaże się, że jest ono zadowoleniem z tego, co się osiągnęło i czynieniem dla innych ludzi wszystkiego, co tylko potraficie”.

To jest cały drogowskaz, który im dał na życia bój. Niejeden byłby z takiej rady niezadowolony, ale im to wystarcza. Wiedzą jak trzeba po harcersku żyć.

L. Z.

Towarzystwa gimnazjalne.

Kiedy przypatrzymy się pracy w szkole, a pracy w organizacjach, to zauważymy, że między jednym a drugim systemem działania istnieje różnica. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że w szkole nie powinno być wogóle towarzystw młodzieży. I takby było najlepiej, gdyby towarzystwa były bezprogramowe. Wtedy bowiem chaotyczna praca w organizacjach przyczyniłaby się do powstawania usterek w wychowaniu młodzieży

Każde towarzystwo powinno mieć przygotowany plan i to plan jasny i odpowiadający zainteresowaniom kolegów. Najpierw jednak musimy wiedzieć, co możemy wymagać od towarzystwa działającego wśród uczniów. Nie możemy też wymagać, ażeby organizacja dawała idealne pole do zdobywania wiedzy, dlatego że praca naukowa wymaga ciszy i skupienia myśli. Czynnikiem zaś, który powinien być uznany przez wszystkich, jest wzajemne udzielanie sobie wiadomości naukowych. Dzieje się to na zebraniu, gdzie jeden z członków podaje jakiś temat, nad którym toczy się dyskusja. Teraz zaś trzeba przejść do poszczególnych organizacji naszego zakładu, określić ich charakterystykę i wydać sąd, o ile zdołały one zrealizować swe ideały. Ideał zawsze musi stać ponad rzeczywistością, zawsze trzeba zadanie wyżej stawiać od nadziei wykonania.

Towarzystwem ściśle naukowym jest T.T.Z. Ma ono 4 sekcje: literacką, historyczną, społeczną i filologiczną. Pracują one odrębnie, a tylko na zebraniach ideowych schodzą się koledzy i obradują nad zagadnieniami ideowymi i organizacyjnymi.

Następnie mamy towarzystwa, które kierują się myślą obrony narodu i państwa, a są niemi: L. O. P. P. i L. M. K. Dalej mamy takie towarzystwa jak „Venetia,” „Straż Przednia,” „Harcerstwo” i dobrze rozwinięta, dzięki troskliwej opiece prof. ks. Ziemskiego, „Sodalicję Marjańską.”

Trudno bądź co bądź robić uwagi nad towarzystwami, do których się nie należy. Jednakowoż wiemy dobrze, że kto pracuje teraz porządnie w organizacji, to odniesie później wielkie korzyści. Bowiem przysposabia nas do przyszłej pracy społecznej i zastaje nas przygotowanymi do życia obywatelskiego.

F. P.

Sprawa dziesięciolecia Promienia.

Na ostatniem zebraniu Komitetu Redakcyjnego „Promienia,” przyw spółdziale także byłych jego pracowników pp: Smętkowskiego, Rynowieckiego i Hofmańskiego, uchwalono wydać w listopadzie br. numer jubileuszowy z okazji dziesięciolecia „Promienia.” Na numer ten o powiększonym nakładzie i objętości, złożą się artykuły nas - uczniów i byłych redaktorów, czy też współpracowników „Promienia.” Numer ten, tak pod względem formy jak i treści będzie musiał się różnić od innych numerów. Za najcenniejsze prace w tym numerze będą wyznaczone specjalne nagrody i wyróżnienia. A ponieważ specjalnie ten numer zasięgiem swym obejmie większe koła czytelników, dlatego za punkt honoru weźmiemy sobie to, aby forma tak zewnętrzna jak i wewnętrzna „Promienia” stała na najwyższym poziomie. Chyba nie pozwolimy na to, aby posądzano nas o obojętność względem naszego pisma, a co gorsze, może o tępotę i niedorozwinięcie intelektualne. To pierwsze możnaby jeszcze przebaczyć, ale tego drugiego nie, tem bardziej, że na nas będą zwrócone oczy naszych byłych kolegów, dzisiaj już ludzi na stanowiskach, którym i teraz dobro „Promienia” leży na oku.

Dlatego Redakcja wzywa wszystkich kolegów, aby prócz artykułów zwyczajnych nadały już artykuły do numeru jubileuszowego. Prace mogą być dowolne, związane jednakowoż z dziesięcioleciem „Promienia.” Ewentualnie u-

mieścimy także pracę niezwiązaną z dziesięcioleciem, ale musi to być utwór rzeczowo i pięknie opracowany.

Artykuły te proszę składać na ręce Redaktora Naczelnego „Promienia” — kol. Kołodzieja Edmunda z kl. VIII Kierownika Wydawnictwa — Grzędy Edwarda z kl. VIII i na ręce Kolpoltera — Ożegowskiego Przemysława z kl. VI.

Redakcja „Promienia”

ŻYCIE ORGANIZACYJNE

Sprawozdanie z działalności T.T.Z-u.

T. T. Z. rozpoczął w nowym roku szkolnym nowymi siłami.

Dnia 9. IX. odbyło się zebranie Zarządu, na którym ustalono terminy zebrań poszczególnych kółek i wysunięto kandydatury na skarbnika. Później omówiono szczególnie program pracy kółek i całego T.T.Z. Kol. prezes polecił kol. sekretarzowi przeprowadzić werbunek nowych członków. Na zebraniu tem był obecny także p. kurator prof. B. Chrzanowski.

Dnia 23. IX. odbyło się nadzwyczajne Walne Zebranie T.T.Z. połączone zarazem z Zebraniem Programowem. Po odłożeniu udzielenia absolutorjów na następne Walne Zebranie zajęto się wyborem nowego skarbnika.

Większością został wybrany kol. J. Skrzetuski. Następnie wybrano referaty na 1 półrocze. We wolnych głosach przedłożył p. Hofmański Walnemu Zebraniu sprawę bezprawnego usunięcia go przez prezeza kol. Wolka z Zarządu Głównego T.T.Z. w Poznaniu.

Gdy p. Hofmański uzasadnił swe oskarżenie i poparł je jasnymi dowodami przyrzekł mu kol. prezes Voelkel wysłanie odpowiedniego monitum w tej sprawie do Poznania i poruszenie tegoż na Zjeździe prezesów. W sprawie Krystka, W. Zebranie nie mogło udzielić absolutorjum. Zabierali także głos pp. Smętkowski i Rynowiecki, dawni członkowie tutejszego T.T.Z.

Zebranie to, na którym było obecnych, 75 proc. członków zamknął zebranie kol. prezes po 1 godz. dziękując obecnym za liczne przybycie.

Kronika.

- 3. IX. 35. odbyło się uroczyste otwarcie roku szkolnego. Ks. prefekt Lech Ziemski odprawił Mszę św., po czem zaczęły się zajęcia szkolne.
- 5. IX. 35. ks. prefekt odprawił Mszę św. za spokój duszy śp. Prof. Nikodema Malaka.
- 21. IX. 35. staraniem Samorządu szkolnego urządzono Wentę, której dochód (okóło 180 zł) przeznaczono na szkołę w Piaskach.
- 27. IX. 35. gimnazjum nasze było w Strzelnicy Miejskiej na audycji muzycznej poświęconej Moniuszce.

Drukarnia Powszechna

J. Bąk & R. Górski

OSTRÓW Wlkp., Kaliska 31a

wykonuje:

DRUKI

jedno i więcej kolorowe.

Ceny przystępne.

Wykonanie solidne.

Dostawa szybka.

M. Jankowska

Ostrów Wlkp., Kaliska 1

poleca

w wielkim wyborze

przepisowe mundurki

i płaszcze szkolne,

ubrania, płaszcze

męskie i damskie

Wielki wybór - Ceny niskie